# POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 11 MAJA 1929 ROKU NR. 19


JERZY OSTROWSKI

2) # JAZONEJA

*(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)*

Przypomniał tylko, kiedy sprawy dotykały blisko jego kieszeni, ale i wtedy nie wyzbywał się swego niejasnego żargonu. Często zaś zapominał nawet o interesach, tak go pochłaniała ta bezinteresowna i niewzajemna miłość abstrakcji. Messel nie perorował teraz na popasach coram populo, lecz przypierał do muru coraz to kogoś innego z gromady i obryzgiwał go gorącym szeptem, śliniąc się przytem pracowicie.

— Jakiś taki... niewiadomo kto!... — ział namiętnie. — Odbije się to na opinji całego społeczeństwa, które absolutnie... ab-solutnie...

Pobijał ludzi tem „absolutnie". A pozatem, w tym nowym kraju naprawdę niewiadomo było, czego się trzymać. Nadchodził jednak stary Szuk i milkli. Za to zbierali się teraz raczej u innych ognisk, unikając punktu, gdzie stała „carossa" przybysza, tuż obok rodziny Szuka.

Natomiast José podjeżdżał często do wozu, gdzie leżał chory i pytał cicho starej Szukowej o zdrowie pacjenta:

— Está melior?

Szukowa zaś mruczała niezmiernie, że „tak samo".

Musiał widocznie ten człowiek długo czerpać z ostatnich zapasów swego ciała i doprowadził się do zupełnego bankructwa. Teraz odmówiło mu ono zupełnie swych usług i restaurowało swoje braki w jakiś tajemniczy a mądry sposób. Wygodny to był zresztą chory: spał prawie bez przerwy, czasem tylko budził się, aby napić się nieco wody. Próbowano go wynosić na powietrze, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia — spał tak samo, jak w wozie.

W takim stanie wjechał do Czarnej Rzeki, a nie był to w najmniejszym stopniu wjazd tryumfalny.

W barakach, gdzie umieszczono przybyszów, Cobus zaczął zwolna przychodzić do siebie. Nie w tem znaczeniu, żeby nabrał ciała (wydaje się, że miał już ten typ budowy — z żył i ścięgien, bez odrobiny zbytecznego mięsa), ale barwa jego skóry stała się mniej trupia i oczy nabrały jakiegoś prześmiewnego połysku. Pozbierał też swoje rozrzucone członki, stał się niejako bardziej „dośrodkowym", chociaż miał ciągle tę miękkość leniwego drapieżcy. Mówił tak mało, że stawało się to nieprzyzwoitem, gwizdał tylko ciągle. Dopiero po jakimś czasie wybaczyli mu to Szukowie, gdy zobaczyli, jak niechętnie zdobywa się na jakiekolwiek słowo. Wyglądało to doprawdy, jakby się wstydził mówienia. Słowa zastępował jakiemiś prychaniami, pomrukami i poświstami, tak, że udawało mu się czasami rozmowę podtrzymywać, choć najczęściej niewiele zwracał uwagi na to, co się mówiło. Kiedy pierwszy raz mógł wyjść na dwór, stanął — już z kapeluszem w ręku — na środku izby, rozkraczywszy szeroko nogi i patrząc na Szukową. Po chwili wyrzucił prędko z siebie: „Dziękuję wam, Szukowa, za tego... za wszystko" i obrócił się na pięcie ku wyjściu. Po drodze objął szerokim chwytem Weronikę Szukównę i błysnął do niej zębami: „Tobie też!" A potem już zaraz zaczął gwizdać i wyszedł. Szukowej nie podobało się to mocno i gderała przed mężem, ale stary się pośmiewał tylko. A potem powiedział: „Cicho-no, kobito: to jest chłop! Ja ci mówię — to jest chłop". Może Szuk miał zresztą na niego jakieś plany?

Kiedy jednak Dyrekcja wezwała wszystkich do zjawienia się przed budynek rządowy — był jeszcze nieco słaby i został z kobietami. Poszedł tylko stary Szuk i młody — Walery.

Z baraków wylegały drobne grupki i zbierały się w wielką gromadę, było też i trochę kobiet, które nie ufały w obrotność swoich mężów. Wśród tłumu kręcił się Messel i starał się szeplenić możliwie najgłośniej. Ludzie byli rozdrażnieni odmienną strawą, zimnem, którego nie spodziewali się, chorobą dzieci, które grymasiły i słabły, bez wiadomego powodu, i niewyjaśnioną sytuacją. Patrzyli też zpodełba i ledwie odpowiadali na powitania Szuka. Jeden tylko Messel odpowiedział bardzo uprzejmie i wzajemnie zapytał o zdrowie „całej" rodziny. Potem znowu począł ugadywać się z furmanem André, który pozostał na miejscu, częściowo, jako tłumacz, częściowo zaś jako siła komunikacyjna dla dostarczania prowjantów. Zbliżył się do nich po chwili i José, ale szepnąwszy coś krótko, poszedł do budynku dyrekcji, a Messel powrócił do gromady. Wyszedł wreszcie tęgi zażywny człowiek, w rozpiętej kamizelce z papierem w ręku. Był to sam dyrektor Otto Reich. Gromada — jeszcze starokrajowym obyczajem posłuszeństwa — zdjęła czapki; dopiero usłyszawszy kpiące prychnięcia żołnierzy i gromadki robotników — mulatów, z niejakiem zawstydzeniem nakryła głowy. Dyrektor uśmiechnął się także i począł mówić długo i wymownie. Potem André równie długo i prawie równie niezrozumiale tłumaczył. Potem

ku ogólnemu zdumieniu — wystąpił Messel. Byłby pewnie do reszty poplątał sprawę swą kunsztowną wymową, gdyby nie silny okrzyk Szuka, który mu zepsuł kontenans:

— Tylko krótko!

Wyprysnęły śmiechy, a Messel — udając zresztą, że nie słyszał — powiedział istotnie w kilku słowach, że oto Dyrekcja Kolonizacji chce dać przybyszom możność zarobku i angażuje ich na roboty przy budowie kolei żelaznej. I żeby zaraz podpisywać kontrakty.

Nie podobało się to gromadzie, zaczęły się nieśmiałe protesty, pomruki i okrzyki. Ośmielił ich dopiero Szuk, kiedy przepchawszy się przez tłum i mijając Messla, podszedł do André i powiedział mu tak, że cały tłum usłyszał.

Przetłumacz im tak:

— Musimy się namyśleć i naradzić, a tak odrazu — nie pójdziemy.

— Nie pójdziemy! Nie pójdziemy! — huknęły śmiałe już teraz głosy. Messel zakrzątał się i — rzec można — zaroił, jak polany ukropem. Począł coś rozpowiadać sztucznie i rozwlekle, nie rozumiejąc, że w takiej chwili trzeba albo rzucić zdanie, mające postać hasła, albo iść za innem hasłem.

Dyrektor Reich skrzywił się, ale nic nie powiedział. Poszukał oczami Josego, potem rzucił okiem na rzucającego się Messla i wreszcie zawrócił do domu. Za nim poszedł nieodstępnie wielki murzyn, który stał do tej pory skromnie na boku. Zapadł zmrok i gromada zaczęła się rozchodzić do baraków, deliberując głośno.

Po wieczornej strawie, kilka razy ktoś zaglądał do baraku Szuka, ale cofał się zaraz, dojrzawszy postacie siedzące przy ogniu. Po jakimś czasie Cobus podniósł się leniwie z pniaka i ziewnął szeroko, przeciągając swoje żylaste ramiona:

— Pójdę. Rozejrzę się.

Niedbale wziął jakąś kapotę, a pod nią pas ze Shmitem i wyszedł. Zaraz po jego wyjściu zaczęli się schodzić ludzie z gromady. Stękali siadając i podawali niezdarnie dłoń staremu, który się uśmiechał nieznacznie. Zaczęła się narada.

Cobus tymczasem szedł niedbałym krokiem między barakami, domyślając się raczej, niż widząc drogę. Zobaczywszy jakieś mizerne światło, skierował się ostrożnie w tę stronę, mruknąwszy z zadowoleniem, jakby znalazł to, czego szukał. Była to „Venda", t. z. „fornecedora" — kupca zakontraktowanego przez Dyrekcję, który dostarczał przybyszom produktów — na kwity, wobec tego, że mieli przez rok być aprowidowani przez Zarząd Kolonizacji.

Wejściem swojem zdziwił wszystkich, byli tam bowiem prawie wyłącznie mulaci czy mulato-metysi, słowem, miejscowi. Odwrócili się ku niemu pytająco z tem rozbawieniem, jakie ma zawsze tuziemiec wobec tak odmiennego, a więc zabawnego cudzoziemca. Kiedy jednak uśmiechnął się z pewnością siebie, spokojnie dotknął ręką kapelusza i rzucił pozdrowienie w ich własnym języku, odpowiedzieli mu już zupełnie poważnie i z tą grzecznością tak znamienną dla rasy łacińskiej, a nawet jej synów nieprawego łoża.

— Boa noite! Boa noite!

Z kąta podniósł się natychmiast José i podszedł do Cobusa.

— Jak zdrowie — pytał, ilustrując gestami pytanie, na wypadek, gdyby cudzoziemiec nie rozumiał.

Ku zdziwieniu jednak całego towarzystwa, które z zainteresowaniem obserwowało tę życzliwość sinjora „sergento" do obcego, ten ostatni odpowiedział wyraźnie, choć jakby z pewnym trudem:

— Obrigado. Melior.

I zmrużywszy oczy, czekał wrażenia.

Nastąpiły natychmiast superlatywne komplementy o wybitnej inteligencji cudzoziemca i tysiące pytań, na które zresztą można było nie odpowiadać, wobec tego, że jedne usuwały w cień drugie. José, który stanowił arystokrację miejscową i szedł prawie zaraz po dyrektorze kolonji, z pięknemi gestami odgrywał rolę protektora w stosunku do Cobusa. Kiedy nieco uciszyło się, Cobus począł żuć długo jakieś słowa, wreszcie powiedział twardym i obcym akcentem, ale z szelmowskim i zawadjackim akcentem:

— Vamos tomar um cachasinho, nao é?

Odpowiedzią na to był powszechny ryk radości, mulaci śmieli się i zaśmiewali, jak dzieci, bijąc pięściami w stół i tupiąc nogami. Nie mogli się długo uspokoić. Krzyczeli: „muito bem!" bez końca i mieli łzy w oczach ze śmiechu.

Tylko brudny Syryjczyk, który stał za ladą i patrzył znudzonym, bezmyślnym wzrokiem przed siebie, nie znalazł się na wysokości chwili. Kiedy Cobus zamówił dwie wódki, powiedział obojętnie, ale niechętnie:

— A pieniądze są? Bo „cachasu" na kwity nie daję.

I tu Cobus uczynił gest prawdziwego „walentona". Niezbyt jasnemi słowami, ale dobitnym ruchem zaszachował nietaktownego Syryjczyka. Powiedział mniej więcej, że o ile mu nie wystarczy pieniędzy, sprzeda — „to". I w tym momencie wyjął i wyciągnął nagle ku Syryjczykowi swój olbrzymi rewolwer. Doprawdy! to zapowiadało ciekawego kompana! Dostał też huczne brawo i wywołał radość, trwającą około kwadransa.

Po godzinie José i Cobus byli już na „você" i klepali się po łopatce z całej siły.

Całe towarzystwo rozbawiło się na dobre. Mężczyźni stawali się dziećmi a zarazem bardziej jeszcze mężczyznami: zapominali o swoich troskach i o tem, co ich krępowało. Byli wolni, wielcy, silni, bohaterscy.

— Dlaczego wy, cudzoziemcy, nie nosicie broni? — zapytał któryś Cobusa.

— Bo jesteśmy silniejsi! — wyrzucił przez kłęby dymu.

— Czyż?

Cobus wstał i z wielką ochotą proponował próbowanie się na rękę. Stawiali łokieć na stole i przemagali się. Próbowali między sobą, próbowali z Cobusem. Żółtawe białka oczu błyskały im strasznie i nadrabiali miną, która istotnie była groźna. Cobus zaś kpił radośnie i przyjacielsko. Napinał nieco mięsień, kładł osłabłe ramiona płasko na stół. Potem pokazał im jeszcze sposób zmagania się „na nogę", w czem też został zwycięzcą.

Śmiał się z ożywieniem i zachęcał nowe ofiary, mimo, że czuł, iż słabnie, że ciało jego jeszcze nie doszło do swych sił, a trzyma go tylko sztuczne podniecenie „cachasu". Ale nikt już nie reflektował, pozostał bowiem tylko José, a ten nie chciał narażać swego autorytetu na szwank. Wyszedł z tego zręcznym manewrem, chwaląc się Cobusem, jak swoim wynalazkiem:

— A co? Dzielny? Patrzcie, jaki to chłop!

(D. c. n.).

# TRÓJKA TREFL

7)

Jął bacznie studjować ten dopisek. Nie znał charakteru pisma przyjaznej ręki, która skreśliła tych kilka słów. Być może, jakaś litościwa osoba napisała też do Jenny, ażeby ją objaśnić, dlaczego nie mógł się stawić na umówione spotkanie piątego stycznia.

Przypomniał sobie nieoczekiwane wezwanie telefoniczne do Foreign Office w wilję Nowego Roku.

I nigdy nie zapomni swojej wizyty w ministerstwie spraw zagranicznych! Przymknąwszy oczy, widział wszystkie szczegóły gabinetu podsekretarza stanu, olbrzymie biurko pełne aktów, wysokie okna, z których roztaczał się widok na park otulony w mgłę, wielki kominek z płonącym ogniem.

Sir Feliks Denzill nie był sam w swoim gabinecie. Obok niego stał mężczyzna o atletycznej budowie, rosły, tęgi, starannie ogolony. Robił wrażenie marynarza. Bystre spojrzenie, surowy wykrój ust, krótki sposób wyrażania się — wszystko to świadczyło, iż przywykł rozkazywać.

— Oto Cairsdale! — przedstawił sir Feliks Denzill młodego dyplomatę, nie wymieniając nazwiska wysokiego mężczyzny.

Ta bezceremonjalność zdziwiła młodego dyplomatę, sir Feliks był wzorem dobrego wychowania.

Obcy mężczyzna wyciągnął dłoń do Godfreya.

— Mówi pan po węgiersku?

Padło pytanie, jak wystrzał armatni.

— Owszem.

— Interesuje się pan archeologją?

— Owszem.

— Podjąłby się pan tajnej misji?

— Owszem — odrzekł Cairsdale bez wahania.

Potężny mężczyzna zwrócił się do Denzilla.

— Doskonale! On się nada — oświadczył, poczem wyjął papierośnicę i poczęstował obu mężczyzn.

— Można palić? — zapytał sir Feliksa. — Coś się dzieje na Węgrzech,—zaczął, opierając się o krzesło.—Nie wiemy wprawdzie, co takiego, ale nie ulega żadnym wątpliwościom, że organizuje się spisek, który może przybrać poważne rozmiary. Sam fakt, iż słynny pułkownik Trommel jest w to wmieszany, wystarcza, by mieć się na baczności.

Urwał na chwilę, zaciągnął się dymem i ciągnął.

— Główna kwatera tego spisku mieści się w węgierskim pałacu, zwanym Kès, który należy do niejakiego hrabiego Gellerta. Kès znajduje się w pobliżu Hacz, na linji drogi żelaznej pomiędzy Wiedniem i Budapesztem, niedaleko granicy czechosłowackiej. W każdym razie, wszystkie dane przez nas nagromadzone tam nas prowadzą. Spisek posiada trzech przywódców, usymbolizowanych przez trójkę trefl.

— Trójkę trefl? — powtórzył Godfrey.

— Tak jest — podjął obcy mężczyzna. — Nawet, posługując się tą kartą, członkowie spisku podają sobie wzajemnie wszelkiego rodzaju instrukcje. Przed pięcioma dniami agenci nasi w Berlinie, Brukselli, Bernie, Monte Carlo, Medjolanie i jeszcze innych miastach zauważyli, iż ludzie biorący udział w tym spisku wyjechali bądź do Monachium, bądź do Stuttgartu, bądź do Budapesztu. Z pośród nich, czterech przynajmniej zawiadomiono przy pomocy trójki trefl, którą przysłano im tajemniczym sposobem...

— Jeżeli — zauważył Godfrey Cairsdale — członkowie spisku są znani, nie będzie trudno udaremnić spisku.

— Każdy z naszych wywiadowców był tego samego zdania — odrzekł wysoki mężczyzna. — Lecz to nie wystarcza, gdyż jest jeszcze zbyt wcześnie i wiemy zbyt mało. Gdybyśmy teraz zarzucili sieci, nie złowilibyśmy żadnych grubszych ryb, a my chcemy złapać przywódców. Pańskie zadanie będzie polegało na dostarczeniu mi ich właśnie.

Godfrey otworzył szeroko oczy. Nie, ten, człowiek zdawał się w nic nie wątpić.

— Kto są ci przywódcy?

Obcy mężczyzna roześmiał się.

— Feliksie — oświadczył — podoba mi się twój przyjaciel. Widzę, że zmierza wprost do celu. Dwaj przywódcy są nam dobrze znani. Jeden z nich, pułkownik Trommel... Niemiec, były członek sztabu generalnego. Wsławił się podczas wojny niebywałą wprost inteligencją, przenikliwością i okrucieństwem. Wszechmogący, wyposażając go tak hojnie w zalety umysłu, zapomniał o sercu. Niema w nim źdźbła dobroci. Drugi przywódca, von Bartzen, jest Austrjakiem. Bardzo zręczny, nieco egzaltowany, jak większość jego rodaków. Przed nim również trzeba się mieć na baczności. Skądinąd czarujący mężczyzna, a kiedy był w misji wojskowej w Londynie i Washingtonie, wszystkie kobiety szalały za nim. Von Bartzen i Trommel znajdują się chwilowo w Monachium. Jesteśmy dokładnie powiadomieni o wszystkich ruchach. Lecz prócz nich, jest jeszcze trzeci, którego właściwie należy uważać za głównodowodzącego. On decyduje o wszystkiem, on udziela rad, bez niego nie przedsiębierze się żadnego kroku. Otóż *nie wiemy, kim jest ten trzeci.* A teraz, niech mnie pan wysłucha w skupieniu: ta sprawa dobiega do końca, do rozwiązania. „Trójka Trefl", jak mówią moi wywiadowcy, ma spotkać się w zamku Kès, i to w połowie tego miesiąca. Trommel i von Bartzen przybędą tam, i przypuszczam, że trzeci zjawi się również. Plan działania zostanie ostatecznie ustanowiony, ostateczne kroki przedsięwzięte i, rzecz niezmiernie ważna, osobistość głównodowodzącego wyjawiona. Rozumie pan, czego bym pragnął od pana?

— Mam dostarczyć panu tych informacji? — zapytał Godfrey.

— Miałem to na myśli — odpowiedział krótko wysoki mężczyzna.

— Trudne zadanie.

— Nie tak trudne, jak sobie pan wyobraża. Mamy w Kès wywiadowcę, intendenta zamku, Maksa Rubisa. Pomoc jego jest względna, gdyż będzie pana jedynie powiadamiał o przyjeździe lub wyjeździe gości zamku Kès. Lecz rola, jaką panu wyznaczyliśmy, jest doskonale pomyślana. Jedno z naszych towarzystw naukowych porozumiało się z konserwatorem muzeum archeologicznego w Haczu, który wzamian za kapitały, jakie są potrzebne dla prowadzenia poszukiwań, pozwoli współpracować z nim naszemu rodakowi. Konserwatorem jest doktór Nagy. Wynajęliśmy już panu willę i przygotowaliśmy dla pana służącego. Będzie pan otrzymywał dla nas raporty od

Rubisa i będzie mu pan dawał wskazówki, jak ma wyświetlać pewne ciemne punkty.

Godfrey roześmiał się:

— Zdaje się, że przewidział pan już wszystko.

Wielki mężczyzna huknął:

— Starałem się o to.

Następnie zaczął wtajemniczać we wszelkie szczegóły. Nie można było, rzecz oczywista, porozumiewać się za pomocą telegrafu nawet szyfrowanego. Natomiast Orient Express, jadący trzy razy tygodniowo do Budapesztu, zatrzymywał się dwie minuty na dwieście dwudziestym czwartym kilometrze, bardzo blisko willi przeznaczonej dla Godfreya. Kurjer dyplomatyczny, jadący Orient Expressem, raz tygodniowo miał wręczać Godfreyowi listy i odbierać od niego raporty. Ażeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń zbyt częstemi postojami przy dwieście dwudziestym czwartym kilometrze, Godfrey będzie za każdym razem powiadomiony, kiedy ma znowu czekać na kurjera dyplomatycznego. W razie nagłych zmian otrzyma wiadomości jeszcze inną drogą.

Cairsdale miał opuścić Londyn tego samego dnia i zniknąć, nikogo nie powiadamiając o swojej misji. Wspomniał z pewnem wahaniem o „poważnych sprawach osobistej natury, wzywających go do Paryża na piątego stycznia". Wolno mu było przynajmniej napisać słówko i wytłómaczyć, że nie może się stawić ze względów służbowych?

— Nie — odparł tęgi mężczyzna tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu. — Podejmuje się pan misji niezmiernie poważnej i niebezpiecznej, bezwzględna dyskrecja jest wymagana. Gdyby ktokolwiek znał treść naszej rozmowy, nie mógłbym odpowiadać za pańskie życie na Węgrzech. Jeżeli nie może pan przyjąć naszych warunków, proszę mi to powiedzieć otwarcie, a postaram się natychmiast o kogoś innego dla wypełnienia tej odpowiedzialnej misji.

Zapadło milczenie. Po chwili obcy mężczyzna dodał cieplejszym tonem.

— A jednak, mam wrażenie, że nikomu nie powierzyłbym tego zadania równie chętnie, jak panu.

Była w tym nieznajomym siła tak przekonywująca, że Godfrey nie mógł oprzeć się jej. Nie potrafiłby wytłomaczyć, dlaczego zgodził się. Nikt, nawet jego zwierzchnicy w Foreign Office, nie mieli wiedzieć, gdzie się znajduje.

Gdy następnie omawiał bliższe szczegóły z nieznajomym mężczyzną, ten ostatni objaśnił go, że misja, którą mu powierzono, nie będzie trwała dłużej, niż dwa do trzech tygodni. A więc, obliczał Cairsdale, za jakieś dziesięć, dwanaście dni będzie już wolny i ujrzy swoją Jenny.

Lecz co myślała o nim ukochana dziewczyna? Świadomość, że czekała go daremnie, ciążyła mu znacznie bardziej, niż bezustanna czujność, jakiej wymagała jego misja. Spojrzał na podarowaną przez nią obrączkę, której nie zdejmował z palca.

„Z całą wiarą" — tak brzmiał napis, znajdujący się wewnątrz obrączki. Czy Wirginja kochała go dostatecznie, ażeby ufać mu? A może przypuszczała, iż zadał kłam mottu „z całą wiarą"?

Wyjął z portfelu jedyną fotografję Jenny, jaką posiadał. Było to migawkowe zdjęcie, zrobione w pełnem słońcu. Wirginja uśmiechała się tym swoim czarującym uśmiechem, który lubił tak bardzo, gdyż harmonizował z jej świeżą cerą i miękkim połyskiem włosów. Lecz w oczach malowała się powaga.

Jak dokładnie przypominał sobie dzień, gdy robił to zdjęcie w parku angielskiej ambasady, podczas swojej bytności w Washingtonie! Postanowili sfotografować się na pamiątkę konferencji i każde z nich w czasie zdjęcia miało myśleć o czemś przyjemnem. Rzecz oczywista, on myślał o Jenny. Lecz o czem ona myślała? „Powiem, kiedy się spotkamy w Paryżu" napisała w ostatnim liście.

Tyle dni trzeba czekać. Godfrey Cairsdale zerwał się zniecierpliwiony. Miał przed sobą wolny dzień, gdyż śnieg uniemożliwiał pracę przy wykopaliskach. Tego samego wieczoru miał spotkać się z Maksem Rubisem w małej altance parku okalającego zamek Kès i otrzymać raport tyczący wypadków, rozgrywających się w tym dziwnym, tajemniczym domu.

Do tej pory nie miał żadnego zajęcia. Siedzieć przed kominkiem i rozmyślać o rzeczach przykrych! Nie, lepiej pójść do Wolfsbadu i wykąpać się. Urządzenie willi było prymitywne i pozbawione łazienki. Po drugiej stronie lasu o jakieś pięć kilometrów drogi znajdowała się mała kotlina, otoczona świerkami, a w niej Wolfsbad, miejscowość kąpielowa, bardzo uczęszczana przed wojną przez okolicznych Węgrów. Był tam niezły hotel, kawiarnia i zakład kąpielowy.

Spacer przez las był bardzo przyjemny. Godfrey Cairsdale spotkał po drodze kilku drwali, posilających się przy ognisku. Około wpół do trzeciej wkroczył na główną ulicę miasteczka. Niemal wszystkie sklepy były pozamykane, ze względu na zimę. Godfrey wykąpał się, a następnie udał do opustoszałej kawiarenki, gdzie spożył śniadanie. Zapłacił rachunek, zaciągnął się dymem z papierosa i spojrzał na zegarek, wskazujący czwartą godzinę. Było jeszcze jasno, więc postanowił przed udaniem się w powrotną drogę wejść jeszcze na pobliskie wzgórza.

Przechadzka ta sprawiła Godfreyowi dużą przyjemność. Szło się ścieżką pod górę, między świerkowym lasem. Ze szczytu, gdzie się znajdował pomnik jakiegoś lokalnego bohatera, roztaczał się piękny widok na pasmo wysokich gór, pokrytych śniegiem.

W miesiącach zimowych nie spotykało się nikogo na ścieżce, ani na szczycie wzgórza. Nawet przed wojną sezon zimowy należał do martwych. To też zdziwił się Godfrey niemało, gdy ujrzał na ławce przed pomnikiem jakąś osobę. Była to kobieta w czarnem futrze, czarnym kapeluszu, głęboko wciśniętym na czoło. Jej maleńkie nogi były pięknie obute.

Godfrey Cairsdale ocenił na pierwszy rzut oka, iż widoczna skromność jej ubrania świadczyła o wytwornej elegancji. Mając wyraźne powody, by nie zawierać żadnych znajomości w tym kraju, odwrócił się, podszedł do balustrady i oparłszy się o nią, spoglądał na zimowy krajobraz.

A jednak był ciekawy, kim mogła być nieznajoma.

Natychmiast po przyjeździe wypytywał Miłosza o właścicieli okolicznych majątków. Było ich niewielu i mieszkali w wielkiej odległości od siebie. Jedynym majątkiem ziemskim w pobliżu, poza zamkiem Kès, była posiadłość hrabiego Hektora Aranyi. I tu i tam nie mieszkały żadne kobiety. Wprawdzie hrabia Aranyi przyjmował u siebie gości, ale nie wydawało się Godfreyowi prawdopodobne, aby któraś z pań odważyła się na samotną wycieczkę o zmroku. A może to była hrabina Aranyi... W tym momencie Godfrey przypomniał sobie, że Aranyi nie ma żony i jest obecnie w Budapeszcie.

(D. c. n.).